

**Temat: Wystawne uczyty elementem sarmackiej obyczajowości. Jak siedemnastowieczne ucztowanie przedstawione jest w podanym fragmencie *Potopu* i co z tego obrazu odnajdujesz w innych scenach powieści Sienkiewicza?**

W Lubowli huczały działa na powitanie, aż wieże i blanki pokryły się dymem, dzwony biły jakby na pożar. Dziedziniec, na którym wysiadł król, krużganek i schody zamkowe wysłane były suknem czerwonym. W wazach z Włoch sprowadzonych paliły się wschodnie aromaty. Większą część skarbów Lubomirskich: kredensów złotych i srebrnych, makat, kobierców, gobelinów misternie flamandzkimi rękoma tkanych, statui, zegarów, szaf klejnotami zdobnych, biur perłową macią i bursztynem wykładanych, sprowadzono już wcześniej do Lubowli, aby je uchronić przed drapieżnością szwedzką; teraz zaś wszystko to było rozstawione, rozwieszane, ćmiło oczy i zmieniało ów zamek w jakąś czarodziejską rezydencję. I pan marszałek umyślnie roztoczył taki, sułtana godny, przepych, aby okazać królowi, że chociaż wraca jako wygnaniec, bez pieniędzy, bez wojska, nie posiadając prawie szat do zmiany, przecie jest panem potężnym, mając sług tak potężnych i równie wiernych. Zrozumiał ową intencję król i serce wezbrało mu wdzięcznością, co chwila więc brał marszałka w ramiona, ścisnął go za głowę a dziękował. [...]

Do uczyty, która po wypoczynku nastąpiła, król zasiadł na wywyższeniu, a pan marszałek sam mu usługiwał, nie pozwalając nikomu się zastąpić. Po prawicy króla wziął miejsce nuncjusz Widon, po lewicy ksiądz prymas Leszczyński, dalej po obu stronach dygnitarze duchowni i świeccy [...].

W drugiej sali stół był zastawiony dla szlachty pomniejszej, a obszerny cekhauz dla ludu prostego, wszyscy bowiem mieli się w dzień przybycia pańskiego weselić.

A przy wszystkich stołach nie było o niczym innym rozmowy, tylko o powrocie króla, o strasznych przygodach, które w drodze zaszły i w których ręka boża króla broniła. [...]

- Miłościwy panie! - zakrzyknął pan marszałek - czas poprawy nadszedł, ale pod tym dachem wasza królewska mość między takimi się znajduje, którzy nigdy nawet i myślą przeciw jej majestatowi nie zgrzeszyli.

[...]

Wtem porwał za kielich i zawołał:

- Zdrowie pana marszałka koronnego, naszego gospodarza i przyjaciela!

- Nie może być, miłościwy panie! - krzyknął marszałek - niczyje tu zdrowie nie może być pierwej pite od zdrowia waszej królewskiej mości!

Wszyscy powstrzymali do pół już wzniesione puchary, zaś Lubomirski, rozradowany, spotniały, skinął na swego własnego marszałka- kredencera.

Na ten znak skoczyła służba rojąca się po sali i poczęła rozlewać na nowo małmazję czerpaną złoconymi konwiami ze szczerosrebrnej beczki. Ochota zaraz uczyniła się jeszcze większa i wszyscy czekali tylko na toast pana marszałka.

Mistrz kredencierz przyniósł tymczasem dwa puchary z weneckiego kryształu, roboty tak cudnej, że za ósmy cud świata mogły uchodzić. Kryształ ich, drążony i polerowany do cienka może przez lata całe, rzucał iście diamentowe blaski; nad oprawą pracowali mistrze włoscy. Podstawy były ze złota rzeźbionego w drobne figurki, przedstawiające wjazd zwycięskiego wodza na Kapitol. [...]

Przeszło pięćdziesiąt figurek mieściło się na każdej podstawie, drobnutkich wzrostem na orzech laskowy, ale wyrobionych tak cudnie, że rysy twarzy i uczucia każdej mogłeś odgadnąć, dumę zwycięzców i pogębienie zwyciężonych. Łączyły podstawę z kielichem filigrany złote, jako włosy cienkie, powyginane dziwnym kunsztem w liście winne, grona i rozmaite kwiaty. Owe filigrany wiły się naokoło kryształu, łącząc się w górze w jedno koło, rąbek pucharu stanowiące, kamieniami o siedmiu kolorach sadzone.

Podał więc mistrz-kredencierz jeden taki puchar królowi, drugi marszałkowi, oba napełnione małmazją. Wówczas powstali wszyscy ze swoich miejsc, a pan marszałek wzniosł puchar i krzyknął, ile mu głosu w piersiach starczyło:

- Vivat Joannes Casimirus rex!

- Vivat! vivat! vivat!

W tej chwili znów huknęły działa, aż ściany zamkowe się zatrzęsły. Szlachta uczująca w drugiej

sali wpadła z kielichami; chciał pan marszałek perorować, nie było sposobu, bo słowa ginęły w ustawicznym krzyku: "Vivat! vivat! Vivat!"

Marszałka taka opanowała radość, takie uniesienie, że aż dzikość błysnęła mu w oczach, i wychyliwszy swój kielich, krzyknął tak, że nawet wśród powszechnego rozgardiaszu było go słychać:

- Ego ultimus!...

To rzekłszy palnął się owym bez ceny kielichem w głowę, aż kryształ rozprysnął się w setne okruchy, które z dźwiękiem upadły na podłogę, a skronie magnata krwią się oblały.

Zdumieni się wszyscy; król zaś rzekł:

- Panie marszałku, szkoda nam nie kielicha, ale głowy... Siła nam na niej zależy!

- Za nic mi skarby i klejnoty! - zawołał marszałek - gdy mam honor waszą królewską mość w domu moim przyjmować. Vivat Joannes Casimirus rex!

Tu kredencierz podał mu drugi kielich.

- Vivat! vivat! vivat! - brzmiało ciągle i bez ustanku.

Dźwięk rozbijanego szkła mieszał się z okrzykami. Tylko biskupi nie poszli śladem marszałka, bo powaga duchowna broniła.

Lecz nuncjusz papieski, nieświadom owego zwyczaju tłuczenia szkła o głowy, pochylił się do siedzącego obok księdza biskupa poznańskiego i rzekł:

- Dla Boga! zdumienie mnie ogarnia... Toż w skarbie waszym pustki, a za taki jeden kielich można by dwa słuszne regimenty wojska wystawić i utrzymać!

- Tak u nas zawsze - odrzekł kiwając głową ksiądz biskup poznański - kiedy ochota w sercach wzbierze, to i miary w niczym nie masz.

Jakoż ochota coraz była większa. Przy końcu uczty jaskrawa luna uderzyła w okna zamku.

- Co to jest? - spytał król.

- Miłościwy panie! Proszę na widowisko! - rzekł marszałek.

I chwiejąc się nieco, prowadził pana do okna. Tam cudny widok uderzył ich oczy. Dziedziniec oświetlony był jak w dzień. Kilkadziesiąt beczek ze smołą rzucało jasnożółte blaski na bruk wyprzątnięty ze śniegu i wysypany igłami świerków górskich. Gdziegdzie paliły się i kufy okowity, rzucające światło błękitne; do niektórych sól wsypywano, by świeciły czerwono.

Rozpoczęło się widowisko: naprzód ścinali rycerze głowy tureckie, gonili do pierścienia i ze sobą na ostre; potem psy liptowskie zażerały niedźwiedzia; potem góral jeden, rodzaj górskiego Samsona, rzucał kamieniem młyńskim i takowy w powietrzu chwycił. Północ położyła dopiero koniec tym zabawom.

Tak wystąpił pan marszałek koronny, chociaż Szwedzi byli jeszcze w kraju.

Henryk Sienkiewicz, *Potop*, T. II, Warszawa 1956, ss. 482-487.